



PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

Kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBURG**

REKSPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

NA STANOWISKU.

Fiat lux!

Mojżesz. Genesis.

Kto zna dobrze drogę swoją,
ten poważnie i zwolna stapa.
Z. Krasinski.

U tych narodów, u których cywilizacja, kultura ziemi i ducha, dojrzałość społeczna, doszły do wyższego i trwalszego już stopnia, spotykamy na publicznych gościach szeregi drzew owocowych rosnących, kwitnących i obciążonych owocem pod strażą przechodniów i podróżnych, szanujących ogólne dobro i czekających cierpliwie na właściwy czas zbioru, a na szerokich placach wszechstronnego rozwoju spotykamy idee, które, raz zyskawszy sobie poważne stanowisko, zapuściwszy korzenie w grunt socjalny, wydały już pewne owoce, uzyskały sobie prawo obywatelstwa i bezpiecznego dalszego rozkwitu. U nas niestety, drzewo owocowe jest jeszcze na łasce i nielasce przechodnia, który łamie gałęzie, grabi owoc i daje równocześnie zły przykład, a idee nowe, wywołujące nas swym ruchem z wygodnego legowiska zastoju i drzemki, zaledwie że zaszczipione i przyjęte w społecznej roli doznają niejednokrotnie barbarzyńskiego obchodzenia od nie powiem: stałych podróżnych na drodze ducha, lecz od swawolnych turystów, którzy, nie szanując wspólnego dobra, łamią gałązki młodej rośliny, przeszkadzają prawdziwemu postępowi i utrudniają miejscową kulturę narodową. - Moznaby sporo takich idei naliczyć, które doznały u nas, jak zresztą wszędzie na początku, najrozmaitszych utrudnień, a jednak dziś stały się ogólnym przekonaniem masy i już

ich nie wyrwać z piersi społeczeństwa. Na razie, zajmuje nas jedna z najnowszych spraw: sprawa kobiety, a mianowicie na dziś, zagadnienie: wyższego jej wykształcenia, aż do stopni wiedzy uniwersyteckiej w różnych jej działach. Zagadnieniem tem zajmowano się właśnie obecnie bardzo gorąco we Lwowie, a rozprawy, starcia, referaty, przemówienia w tym względzie ożywiły ogromnie zajęcie się ogółu ważnością wykształcenia kobiet i jej współczesnym stanowiskiem wśród postępu ludzkości, której, wedle obliczeń statystyki jest podobno większą połową.

Rzecz się tak miała, że w Czytelni katolickiej parę poważnych głosów męskich miało się wyrazić powątpiewająco o dobrym skutku nauk gimnazjalnych i uniwersyteckich dla kobiet, i że ogółem biorąc, domowy kołwrotek jest najwłaściwszym celem, środkiem i drogą dla działalności kobiety. Z zamkniętych przemówień w Czytelni katolickiej rzecz się przeniosła do pism codziennych i wezbrała falą różnorodnych relacji i omówień, przeniosła się również do śmielszych umysłów niewieści, które z gorącym słowem stanęły do obrony zagadnienia i przyznać im trzeba, że umiały świetnie podtrzymać sztandar wszechstronnej wiedzy dla kobiety. Panna Niedziałkowska, przewodnicząca Gimnazjum żeńskiego we Lwowie, wypowiedziała wiele zdrowych zasad i wniosków, a pani z Moszczeńskich Rzepecka w poważnym, umiejętnym i błyszczącym iskrami dowcipu przemówieniu wykazała właśnie przez swą indywidualność, że wyższe wykształcenie, ale prawdziwe, istotne, rozumne, daje kobiecie nie tylko wiadomości specjalnie naukowe, ale tę dojrzałość sądu, siłę przekonania, i jasność rozglądania się w celach i obowiązkach życiowych, do wypełnienia których, w obecnych ciężkich czasach nie zawsze sama dobra tylko wola wystarcza.

Rozprawy te trwały parę tygodni, a sprawa niewieścia bardzo na nich we Lwowie zyskała, bo

ujawniły się zdania, skryształizowały sądy i naszkicowało się ogólne przekonanie, że wykształcenie wyższe jest dla kobiet w ogóle korzystnym, dla wielu niezbędnym. Prawie równocześnie z temi rozprawami we Lwowie, rozstrzygały się w Krakowie losy wyższych kursów naukowych dla kobiet założonych, tak umiejętnie i ofiarnie przez s. p. Adryana Baranieckiego, po śmierci którego, zakład cieszący się bardzo wielką liczbą uczennic zaczął powoli upadać, a nie wspierany gorliwie czas dłuższy, chylił się do upadku i już postawiono pytanie czy nie lepiejby zwinąć go zupełnie a fundusze, tak hojnie przez fundatora nadane wyższym „kursom naukowym“, przyłączyć do której ze szkół wydziałowych jako poparcie dalszego jej rozwoju lub rozszerzenie przed dodatkowe klasy. Żywe, gorące powstały weta przeciw znoszeniu szkoły, która najlepsze zaczęła już wydawać owoce a była sama w sobie całością naukową, z programem szerokim i umiejętnym, niosąc światło wyższej wiedzy kobietom, które poza jakimś specjalnym fachem, dążyły do istotnie wyższego a gruntownego wykształcenia, stojącego o wiele wyżej nad przeciętną nauką szkolną klas średnich.

Los szkoły chwiał się parę miesięcy i jak dziś, już zdaje się napewno uratowano istnienie „wyższych kursów“, a z nimi utrwalono ideę pożyteczności rozleglejszego wykształcenia kobiety.

Tak więc w dwóch dużych ogniskach inteligencji naszej uzasadniło się przekonanie, że nauka jest potrzebna niewieście i że jej wyżyny nie powinny być dla niej niedostępne. Przy sposobności tych obu wypadków, zastanówmy się jeszcze raz bliżej nad tem wyższym wykształceniem kobiety.

Wykształcenie, czyli wiedza głębsza, szersza, cóż to jest? to jest światło, żywiol, pod którego działaniem w przyrodzie wszystko rośnie, kwitnie, plony wydaje, a w świecie ducha budzi szlachetne prądy, wielkie usiłowania, rozpala ogni-

ska, przy których grzeje się ludzkość, odpoczywa pracownik i robotnik, lecz się nędzarz, oświeca ciemny, podnosi upadły.

Prawdziwe, czyste światło jeszcze nigdy nikomu nie zaszkoziło. Że są tacy, którzy nawet światła nadużyli, to nie ujmuje w niczem jego potęgę i znaczeniu; świat wszystkiego nadużył, ale pierwiastka dobra, prawdy nie mógł naruszyć, i niespożytem jest owo pierwotne „fiat lux“, które „z twarzy przepaści“ ściera ciemność i rozdziera mroki przed wszelkiem stworzeniem, a nade wszystko w duchu ludzkim ma panowanie swoje.

Dlaczegożby kobieta nie miała mieć prawa do tego pełnego, najszerszego światła, jakim obdarzon być może człowiek dojrzały, pojętny i chciwy wiedzy? O ile z tego prawa korzystać będzie mogła i chciała wśród rozlicznych warunków życia, to rzecz całkiem inna, ale chodzi koniecznie o tę zasadę, że jeśli chce, to niechże dobierać się do tego światła — może, i niechże jej w zasadzie nie mówią, że to nie dla niej!

Wyższe wykształcenie, czyli światło wiedzy, na coż ono więc jest potrzebne i o ile konieczne?

Wyższe wykształcenie, moim zdaniem, ma trzy cele: przedewszystkiem podniesienie ogólnego stanu i nastroju ducha, powtóre jako znajomość poszczególnego działu nauk aby coś w życiu naprawdę porządnie umieć, a nakoniec, żeby ze zdobytych wiadomości wykręsać sobie samodzielną niezależność materyjalną. Ów pierwszy cel powinien być pobudką dla każdej kobiety wszelkiego stanu, aby o ile możliwości starała się oświeconą być istotą, i jeżeli w sferze np. włóściańskiej, stopniem wyższego wykształcenia będzie umiejętność dobrego czytania i pisanja, jeśli w sferze rzemieślniczej szkoła średnia napełni głowę dziewczyny porządnymi wiadomościami o kraju, narodzie, naturze, i życiu praktycznym, to kobieta ze sfery inteligentnej, jeśli sięgnie po wyższe wykształcenie do sal uniwersytetu, a ma po temu zdolności i zdrowie do mierzalnych studyów, to dlaczegożby nie miała mieć prawa aby tę wiedzę zdobywać — i ducha swego nią uszlachetniać i wznosić? Jeśli tylko ma po temu warunki, powinna się kształcić wyżej.

Zresztą, wyższe wykształcenie to nie tylko na uniwersytetach się zdobywa, ale ponieważ one są głównymi źródłami wiedzy, powinny być dla kobiety otwarte. Niema obawy, aby się kobietami przepełniły, sięgać tak wysoko będą tylko te, które poczują się na siłach i których życiowe cele i powołanie tego zażądają; a że się znajdują dziwolągi, które szlachetną pogonią za światłem skompromitują swem postępowaniem, to sprawy nie podkopuje wcale, bo dziwolągi wyrastają na każdym polu, zdradzając tak zasadnicze podwaliny życia i ludzkich stosunków jak małżeństwo, rodzicielstwo, wiara, narodowość, obowiązek wszelaki, a przecież o wartości ideowej tych podstaw społecznych nie będziemy wyrabiali sobie sądu ze zdradzających ich powagę karygodnych wybryków jednostek. Drugi cel wyższego wykształcenia, to jest nabycie gruntownej wiedzy w danym kierunku daje poszczególną dojrzałość umysłu i samodzielną pogląd wyrobioną indywidualności a nakoniec światło jest przecież dla każdego człowieka tym właśnie motorem, który obraca fabrykę codziennego zarobku, a zatem samoistnej pracy na samego siebie, do czego każdy jest obowiązany.

Płyną zatem z tego źródła i ideowe i praktyczne korzyści, a zdaje się, że żadne prawo boskie, ani żaden umysł wyższy ludzki nie odsądził kobiety — od prawa czerpania ze źródła światła, które podnosi w niej człowieka, a kształci robotnika w społeczeństwie. Że do owych źródeł najwyższej wiedzy nie wszystkie dążyć będą mogły, chciały i powinny kobiety, to rzecz inna; tak jak i mężczyźni siły swe dzielą na różnorodne stopnie i rodzaje wiedzy, ale chodzi głównie o tę ideę *prawa do światła*, która ogółowi kobiet wszystkich się należy, aby właśnie te, które drogą najwyższego wykształcenia pójdą, nie spotykały na wstępie właśnie owego zasadniczego zaprzeczenia — że to nie dla nich, lecz w pełnym swem prawie do wiedzy, mogły oddać się studyom bez ciągłej polemiki o to, czy im się uczyć

wolno i bez tego barbarzyńskiego zwyczaju obrzucania śmiesznością usiłowań kobiety na drodze nauki.

Dzisiaj wiele kobiet kształci się tylko dla tej właśnie idei, żeby wywalczyć prawo kształcenia się dla ogółu kobiet, a im znajdują więcej zaprzeczeń na tej drodze, tem usilniej dążą do przekonania przeciwnej strony, że prawo postawionem być powinno jako dla istoty ludzkiej przecież równej co do wartości ducha z mężczyzną i równej co do godności człowieczej. Gdy się prawo ustali, złagodnieje wstępny bój o prawo, a pozostanie prawidłowe z niego korzystanie, powołujące do szeregu te tylko kobiety, których celem życia i zawodem praktycznym będzie wyższa wiedza. W całym cywilizowanym świecie, jeden po drugim otwierają się uniwersytety przed kobietą, w miarę jednakowoż swobód w studyach, niezbyt powiększa się liczba słuchaczek.

Jest to bardzo poważny i bardzo dodatni objaw umysłowości kobiecej, bo widnieje z niego nade wszystko zdobycie dla swej godności, dla swego stanowiska w społeczeństwie prawa do wyżyn ducha, które są niezaprzeczoną własnością istoty, nazywającej się w pełni — człowiekiem. Chodzi więc teraz o dobre, jasne, spokojne zrozumienie i poznanie, wedle słów myśliciela, drogi swojej. W tem zrozumieniu lub niezrozumieniu, w tem poznaniu lub niepoznaniu leży właśnie źródło i przyczyna, albo prawidłowego wyboru powołania i spełniania go obowiązkiem, albo rozminięcia się z właściwym życiowym zadaniem, któremu towarzyszy zawsze gorzka, niechęć, śmieszność, niesprawiedliwość i rozczarowanie.

Ale kto „zna drogę swoją“, kto swe usiłowania postawił na rozsądnym stanowisku możebności, kto wie, że dokona, na co się porwał, ten niechże idzie naprzód spokojnie, poważnie, śmiało lecz „zwolna“ na nowej dziś „jeszcze drodze“, aby krokami swojemi zaznaczał wytyczną kolej dla tych, co pójdą za nim, aby z drogi nie uczynił manowca lecz gościniec pewny i prosty, na którym idee które już poważne stanowisko uzyskały nie powinny doznawać zamachów i burz, które strząsając niedojrzały ich owoc sprawdzają zarzuty złego plonu na całą kulturę tej sprawy. Wszakże kobieta wszystkiego uczyć się może, byle została sobą; a w danym miejscu, czasie, powołaniu, stanowisku, wypełniła swe obowiązki sumiennie, dokładnie i — umiejętnie.

Niechby więc sprawa wyższego wykształcenia kobiet uzyskała to stanowisko pewne, już wreszcie raz przyjęte i zatwierdzone, które się jej z tylu powodów należy, a gdy mniej czasu pochłaniać będzie ostra i przykra walka o samo prawo, więcej go pozostanie przy spokojnie skupionych siłach na prawidłowe, praktyczne, mądre obmyślane warunki szkolne, gimnazjalne, uniwersyteckie, będące formami tego źródła światła i działalności jakich pragnie dzisiejsza kobieta.

Na zakończenie, dodać musimy, że owo pragnienie światła jest rozmaite, a właśnie jest takim u kobiet. Często wrażliwe, skłonne do uniesień, do działania nad siły lub ponad doczesne warunki, pragnąc światła wiedzy, żądają od niego za wiele, sądząc, że wiedza wszystko w życiu zastąpić może, wszystko dać, wszystkim obdarzyć. Tak nie jest. Wiedza nie da ani promiennych gwiazdzistych uniesień miłości, ani księżycowych marzeń i złudzeń, młodego wieku w których świat się piękniejszym i lepszym wydaje, ani niespodziankowych olśnień fortuny, ani nawet kominkowego płomyka pociechy; światło wiedzy jest światłem dziennym, pełnym, bezwzględnym i trzeźwym; nie rozmarza i nie kołysze, nie ludzi i nie mami, nie pociesza i nie tuli; ale dla dusz silnych i czynnych, które kołysania nie potrzebują, które marzeń wyrzec się umiały, które umieją stać prosto, choć droga idzie krzywo, a patrzą jednakowo śmiało i w słońce i w mgłę, wiedza jest jak słońce elektryczne, choć nie grzejące ale jasne, wytrzymałe, świetlanym korzeniem tkwiące w rodzinnym gnieździe błyskawicy, wiedza jest jak ów słup mojżeszowy, który

z niewoli niewiadomości i niedoleństwa prowadzi, wprawdzie nieraz przez smętną i samotną pustynię, ale do obiecanej ziemi dojrzałości osobistej, do samodzielnego żyźnej krainy pracy, do wewnętrznego spokoju i ducha pogody... Na drodze przyszłości wszystko się wyjaśnia... Może i kobieta kiedyś na tym gościńcu będzie swobodnie sięgała po owoc z drzewa ku ogólnemu sadzonego dobru.

Szczesna.

POGAWĘDKA.

Szare niebo, szara ziemia, myśli szare, wszędzie szarość okrutna, że aż serce ból ścisła, a z ust mimowolne wybiega pytanie:

— Długo tak będzie?

Kolor szary jest pośrednim kolorem pomiędzy bielą a czernią, a że nie w naturze nie stoi, lecz albo naprzód idzie, albo wstecz się cofa — tak samo i szarość nie może pozostać nieruchomą. Zmienić się musi, białą albo czarną barwę przybrać.

Przybiera tę drugą.

Nie będę w kronice niniejszej poruszał już struny, o którą nie mogłem nie trącić w ostatniej pogawędce mojej. Oby ta nuta fałszywa nie odezwała się więcej i umilkła raz na zawsze.

Szare niebo, szara ziemia, myśli szare...

Co zaś?

Jestem pod wrażeniem tylko co przeczytanej książki, której tytuł brzmi:

„Żywot i myśli Zygmunta Podfilipskiego!..“

Kto jest jej autorem?

Pan Józef Weysenhoff.

— Czy zamierzasz, panie kronikarzu, pisać sprawozdanie o tej książce?

— Nie, choć powiem otwarcie, że miałbym chęć szczerą duży a poważny o niej artykuł napisać, nie przechodzić nad nią zbyt szybko do porządku dziennego, nie zbyć jej paru słowami sprawozdań dziennikarskich, ani tak, jak to uczynili niektórzy, ganiać trochę, chwalać trochę, rozumiejąc trochę, a trochę nie rozumiejąc zadania, jakie autor podjął w pracy swojej.

Krytyk przysięgły „Bluszczu“ poda prawdopodobnie czytelnikom swoim całokształt dzieła p. Weysenhoffa, w sprawozdaniu tem zapozna ich z główną osnową powieści i osobami, wypełniającymi tom spory. My nie chcemy, ani możemy wchodzić w drogę stałemu sprawozdawcy. Zadanie nasze jest całkiem inne, skromniejsze znacznie, bo pogawędka lekka o dobie obecnej, o tem, co stało się dziś, wczoraj, o tem, co za dni parę zapomnianem zostanie, bo ma tylko wartość chwili bieżącej.

Więc — zachodzimy na wystawę Krywulta...

Sardanapa!

Kierujemy krok do Parku Ujazdowskiego:

Ruch jeszcze niewielki, zieleni mało, nowością jedyną jest most, łączący dwa brzegi jeziora.

Przechodzimy jedną jeszcze i drugą ulicę. Słyszymy jakiś spór w nowozbudowanej lecz nieotynkowanej kamienicy; to gmach zwiedza komisya budowlana, przypatruje się murom w piękne esy, floreesy porysowanym, które przedsiębiorcy właściciel chciał najszybciej ukryć przed oczyma ciekawych, zarzucając je gliną i wapnem.

Nużącem jest to wszędobylstwo piszącego kroniki, bo musi nawet i łeb podnieść do góry i lotem gęsi dzikich przypatrzeć się: lecą wysoko — znak ciepła, nisko — znak chłodu.

Z Sardanapala jednak, Parku Ujazdowskiego, mostu w nim, domów grozących zawaleniem i gęsi dzikich, składa się to życie codzienne, tak samo szare, jak niebo, ziemia i myśli.

A! znowu do Podfilipskiego wróciłem!

Doprawdy, że on mi nie daje spokoju i czuję, że dopóki z nim się nie uporam, mogą mi przed nosem kamienice się walić, mostki trzeszczyć

pode mną, a nademną przelatują gęsi całego świata, — nie zwrócę najmniejszej uwagi na te ciekawe wypadki życia codziennego.

Bodaj cię, panie Weysenhoffie!

To zajęcie się „Podfilipskim,” to ciągle powracanie do niego, wreszcie ten okrzyk w stronę pana Weysenhoffa skierowany, są niezbitymi dowodami, że przedmiot, który tak myśl moja zajął, miary jest nieposledniej, że na tle szarem powszedniości codziennej, jakąś jaskrawą barwą wystąpił, jakieś uczucie rozbudził, czemś serce wypełnił...

Pytacie o barwę? Biała lub czarna być może.

Biała — jeżeli o naukę wam idzie, — czarna — jeżeli o prawdę życiową.

Jakimi uczuciami serce wypełnia?

Ogromnym smutkiem, bezgranicznym smutkiem!

Krytyk przysięgły „Bluszczu,” niech szuka piękności opowiadania, mówi o artystycznej budowie powieści, rozbiera poszczególne wplątane tam postacie każda, — my zajmujemy się tylko bohaterem głównym i panem Jackiem Ligezą, który wyręczył Weysenhoffa i żywota a myśli pana Zygmunta Podfilipskiego, ku wieczystej pamięci podał.

Postacią zrozumiałą zupełnie jest Podfilipski, zagadkową przyjaciela jego — Jacek Ligeza. Jesteśmy więcej niż pewni, że autor, tworząc tę postać, nie miał na myśli przedstawienia tylko w osobie pana Ligezy obojętnego opowiadacza żywota i myśli Podfilipskiego, że użył go jeno jako środka, za którego pomocą fabułę swojej powieści nawiązał. Gdyby tak było w rzeczywistości, Ligeza, jak każda inna postać powieści, będąc typem pewnym, musiałby niewyrazistością swoją spotkać się z ostrzem krytyki.

Ale dlaczego mówimy: musiałby?

Tryb warunkowy przez dokonany zastąpiony tu być powinien.

Ligeza, jako typ danego osobnika, naganę już otrzymał.

Podfilipski wypowiada zdania, które prawie zawsze znajdują uwielbienie w Ligezie. Czasami spotyka się z pewnym protestem ze strony przyjaciela, ale to trwa krótko: przed wielkością Podfilipskiego Ligeza cofa się zaraz; śmiałego wystąpienia przeciw pozbawionym wszelkiej etyki zasadom pana Zygmunta nie masz nigdzie; jest tylko czasami opór, — ale mały, jakby obawa urażenia tej postaci, która wiele o sobie myśli, wiele o sobie mówi, jest wzorem elegancji, dobrego tonu, umiającym żyć, bo nie z darów życia nie uraniać. Ligeza rozumniejszy jest od Podfilipskiego, — z kąd to uległość przed nim?

To niezrozumienie krytyki chciałbym wytłomaczyć.

Nie do kronikarza należy pisać sprawozdanie z takiej a takiej książki, ale pojawienie się „Podfilipskiego” jest wypadkiem dnia. Zresztą, jak powiedziałem wyżej, zanadto ugrzązł mi w myśli, ażeby w chwili danej mógł o czem innym jeżeli nie o nim, mówić.

Od bardzo, bardzo dawna, nie widzieliśmy tak dobrej pod względem artystycznym, tak oryginalnej pod względem założenia i przeprowadzenia powieści, jak powieść Weysenhoffa. Daremnie kusiłbym się zestawić jej z jakimkolwiek bądź dziełem mi znanem. Jeżelibyśmy znaleźli pewne podobieństwo pomiędzy Podfilipskim a Płoszowskim, to rozpryskuje się ono przy bliższym zbadaniu obu tych postaci. Jeżeli znowu „Bez dogmatu,” ma ogólnoludzkie znaczenie i tem stoi wyżej od „Żywota i myśli,” za to Podfilipski jest bliższy nas, bezpośrednio dotyczy spraw naszych. Autor „Podfilipskiego” dał jeszcze dowód swego znakomitego talentu, a na wskroś oryginalnego tem, że stworzył powieść bez żadnych zawikłań powieściowych, tak zwanej fabuły ciekawej; że bohatera swojego nie wprowadził w wir czynów, że równoległe nie przedstawił mu żadnej dodatkowej postaci, że sprawy życia Podfilipskiego, to sprawy tak marne, tak szare, tak liche, jak proch ziemi, po której deptał, tak zresztą zwyczajne, banalne, codzienne, — a mimo to wzrok czytającego na chwilę nie odrywa się od książki, zajęcie nią nie osła-

bia się, coś tylko bólem piers ściska, że u góry proch i u stóp twoich — proch!

Kto jest Podfilipski?

Szeroko o nim pisze Paprocki, pieczętuje się herbem Pilawa, — to dość! Wiemy, że ród jest historyczny, że w przeszłości coś przemawiało za nim — lecz dzisiaj?...

W Podfilipskim skupiły się wszystkie światła, jakie opromieniają dzisiaj ludzi należących do najwyższych warstw społeczeństwa, do owej smietanki, która w posiadanie swoje wzięła wszystkie dary ziemskie: imię historyczne, pieniądze i stosunki. Tem światłem jest: trwonienie dóbr po dziadach odziedziczonych, z krwią zimną rzucanie rulonami złota na stół gry w Monte-Carlo, wszelakiego rodzaju sporty, których czołem są wyścigi konne, użycie żywota bez względu na wszelkie przypisy religijne, etyczne czy narodowe.

Jakto? spytacie i to są promienie, to jest światło tych ludzi, stojących na najwyższym szczyśle społeczeństwa?

Tak! — to nie żart żaden, to z całą powagą, gnębiącą powagą przeprowadzonym jest w powieści.

Ironia!

Nie przeczę — dodam jeszcze i termin drugi — satyra! Lecz tę targającą ironię i satyrę zjadliwą potrzeba umieć wyszukać i odkryć i odczuć. — Autor przecie zdań żadnych nie wygłasza od siebie, usunął się na stronę a miejsca swojego ustąpił panu Ligezie. Podfilipski w zdaniach swoich jest szczery, i z całym wypowiada je przekonaniem; Ligeza w zachwycie swoim jest równie szczery i myśli swoich nie ukrywa. Wszędzie szczerość — a jednak wszędzie przesładuje ciebie twarz satyra. I oto jedna z oryginalności opowiadania, oto jeden z rysów, który mówi o niepospolitym talencie autora.

Postaci otaczające Podfilipskiego, o tyle są więcej czy mniej warte od bohatera, że żyjąc, podobnie jemu, nie wytworzyły sobie żadnej filozofii życia; że gdy każdy krok Podfilipskiego jest poprzedzony rozumowaniem, rachunkiem zimnym — otoczenie działa za złym popędem swych instynktów, bez myśli, że mogłoby, powinno nawet inaczej działać. I tylko ten rozum szatański, który każe tak a nie inaczej używać życia — stawia Podfilipskiego wyżej od kompanów. Wymaga on nadto elegancji, dekorum jest konieczne; hasłem gminu jest np. praca społeczna — on nie wypiera się tego hasła przed gminem. Mówi o potrzebach narodowych, wszakże sam do kraju z zagranicy (Monte-Carlo) sprowadził pieniądze. Nie lubi rozdrażniać się i drażnić; tradycjom nie hołduje, boć każda tradycja nakłada pewne obowiązki, on zaś żadnych obowiązków nie uznaje, a serce (uczucie) w pierśi człowieka — „pierwotnym nazywa osłem.” Nie go z krajem nie wiąże; barbarzyński to kraj, małej przeszłości, bez żadnej przyszłości. Ma dwie ojczyzny: jedną — z musu, tę — w której się urodził; druga — to Francja, właściwie Paryż, ze swoim gwarem, szumem, tętnem i — miłością. Podfilipski lubi kobiety — ale o tyle one mają dla niego wartość, o ile są przedmiotem rozkoszy. To pogarda — ale wyrafinowany rozkosznik nie widzi w tem pogardy, tylko umiejętne skorzystanie z życia.

Chcąc pozbyć się ulubienicy swojej, kobiety zresztą dziwnie czystej i kochającej go nad życie, postaci przesłicznie nakreślonej — nie waha się narzucić jej jako nauczycielkę, dla dzieci swojego brata. Rozpalają go nawet wdzięki bratowej, wpływem swym pozbawia miejsca kasyera przy kolei, bo on śmiało stanął, za ostro wprawdzie, w obronie znieważonych ideałów. Podfilipski przeszedł przez ziemię z niezamąconą pogodą czoła, poważany, kochany, żalowany po śmierci.

Cóż zrobił?

Nic! Umiał żyć tylko — dla siebie. Umiał urządzić sobie życie, jak z wybuchem żalu wspomina o nieboszczyku Ligezie.

Podfilipski nie jest wyimaginowaną postacią Płoszowskiego, w którym Sienkiewicz skupił wszystkie wady społeczeństwa całego, całą jego niezdarność, całe przeffilozofowanie życia. Każ-

dy z nas w sobie — mówiono — ma część Płoszowskiego, ale Płoszowski jako postać jednolita urodził się w potężnym Sienkiewicza umyśle. Podfilipski jest typem żywym, widzimy go wszędzie, ocieramy się codziennie o niego, rzeknę nawet, że ciężar tych Podfilipskich czujemy na sobie, w każdej niemal sprawie, szczególnie narodowego znaczenia. Są to potężne polipy, wysysające rozkosz z każdego kwiatu, który na tej urodził się ziemi, lecz wzięwszy z niej wszystko, nic jej oddać nie chcą. Są to bogowie, mający moc wielką działania — ale myślą tylko o sobie, działają tylko dla siebie, by do słodkich kropel życia dolewać coraz to nowe słodczyce i ślizgać się po powierzchni, lekko, pierzchliwie, bez trosk, zawodów, bólów i pragnień szerszych. Baloniki oderwane od ziemi, które nieba nie dosięgły a nie wszelką z ziemią zerwały. Bujają tu tu, to tam, jak wiatr im tańczyć każe — aż pękają...

Oby prędzej nastąpiło to pęknięcie!

Takim jest Podfilipski, podstaw pod to nazwisko — wielkich panów naszych.

Ale oto zagadka — pan Jacek Ligeza.

Co autor przez tę postać chciał powiedzieć?...

Ligeza jest przyjacielem Podfilipskiego, zachwyca się jego rozumem, znajomością życia, umiejętnością urzędzenia go, wykwinem w toalecie, zdaniem każdym, każdym wypowiedzianym z pewnością siebie paradoksem. Czasami jednak dobra natura Ligezy wzdryga się przeciw zasadom Podfilipskiego, oburzają go zdania niektóre, ośmiela się zaprzeczyć, ośmiela się przekonać, ale w końcu cofa się dyskretnie, nie nadwierzając dobrych stosunków przyjaźni. Zdrowy rozum Ligezy żadnych czynów dodatnich w Podfilipskim nie widzi, jednakże ołsniony *umiejętnością życia* Podfilipskiego, mimo woli schyla przed nim głowę i staje się częstokroć rzecznikiem spraw jego.

Podfilipski umarł — i nad grobem samoluba powinniśmy przejść bez myśli nawet o tym nieboszczyku.

Nie!

Ligeza mówi o życiu jego, myślach wielkich, czuje żal po pożytecznym człowieku.

Takim jest Ligeza, podstaw pod to nazwisko — ogół społeczeństwa naszego.

A!

Rozumiecie teraz Ligezę i stosunek jego do pana Zygmunta?

Boleśna satyra!

Prawda! — ale czy to nie tak się dzieje? czy jeszcze nie kłaniamy się wielkim tego świata? Skarżymy się czasem na ich postęпки, zaprotestujemy przeciwko temu — ale...

Ligeza pożałuje czasami kroku, cofnie się, przeprosić potrafi, nęci go z Podfilipskim przyjaźń, po nieboszczyku łez kilka uroni i — drugiego Podfilipskiego szukać będzie —

Okrutna pustka wieje z powieści pana Weysenhoffa, a mimo to on ją wypełnił takim ogromem czynów... niespełnionych przez tych, którzy je spełnić powinni pod karą wiecznej zaty i potępienia, że powieść w dramat się przemienia, dramat w tragedję krwawą pełną bólu, łkań i zgrzytu. — Czytajcie Podfilipskiego, przerazi was tam — nicość czynów i myśli... i może myśli się rozbudza.

Czy źle zrozumiałem ciebie, panie Józefie?

Budzą mnie.

— Kto tam?...

— Proszę pana o rękopis do drukarni —

— Rękopis?... a prawda — obowiązkowa pogawędka być musi o tem, co stało się w murach Warszawy, czy na jej ulicach, a ja — Panie Boże Wszechmogący, o Podfilipskim pisałem.

Chwyciłem się za głowę —

— Panie — proszę o rękopis...

— Zaraz, zaraz, kochanku... zaraz — tylko powiedz mi, czy żadna nie zawałiła się kamienica?

— Żadna, proszę pana.

— Może co wiesz, gadaj, na miłość boską!

— A no — proszę o rękopis!

— Idź do... przedpokoju, kochanku — zaraz ci dam ten rękopis.

Przerzuciłem z gorączkowym pośpiechem jeden, drugi dziennik...

Wojna!... i niecierpliwość okrutna, że jeszcze flota hiszpańska boju walnego amerykańkom nie wydała. „Co sobie myślą te niedołęgi, Hiszpani, że tak opieszale, manewrują okrętami swojemi?—pisze pewien polityk.—Czy wiedzą oni, że jeden dzień stracony, jeden parowiec opóźniony, może stanowić o całej kampanii?”

Prawdopodobnie Hiszpanie nie o tem nie wiedzą, a na myśl im nie przychodzi zasięgnąć rad u polityka naszego. Boć to wiadomo, że my do polityki jedyni jesteśmy, ale co dziwniejsze, że uczuciami naszymi zwracamy się do Hiszpanów a plecyma do Ameryki.

Bo też czego chce ta Ameryka?...

— Kubę wyzwolić z pod jarzma hiszpańskiego.

Hiszpani! przyjmijcie przyjaźń moja!

Satyra, wszędzie satyra!

— Panie—rękopis!...

— A — prawda.

Przerzucam dalej dziennik:

„Trzystu z górą studentów Uniwersytetu warszawskiego zaległo w opłacie wpisowej za drugie półrocze roku akademickiego; z uwagi na przyspieszony termin rozpoczęcia egzaminów, wspomnieć należy, że ci, którzy nie uiszcza wpisów w przededniu egzaminu, pozbawieni będą praw składania tychże egzaminów.“

— Trzystu!...

I znowu stanął mi w myśli Podfilipski, noszący się z zamiarami zaprowadzenia stajni wyścigowej, któraby najpierwszym stajniom w świecie dorównała—i przypomniał mi się Prus, który, gdy parę dni temu przechadzałem się z nim po ulicach Warszawy — zwrócił uwagę moją na przechodzącego studenta.

— Spojrzyj!... on chyba od tygodnia nie w ustach nie miał.

Błada, wątła postać młodzieńca w akademickim mundurze przesunęła się przed nami. Oczy miał głęboko zapadłe, krok chwiejny. O nim nie powiedzą po śmierci, jak o Podfilipskim:

„Umiał sobie urządzić życie!“

Przewracam dzienniki dalej:

„Bardzo pocieszająca wieść dochodzi z przeszlicznego zakątka kraju naszego, mianowicie z Ojcowa.“

Jak wiadomo, Ojców został nabyty przez s. p. hr. Ludwika Krasińskiego, który nosił się z zamiarem odbudowania pięknego zamku i założenia tam muzeum Ojcowskiego. Ale nielitościwa śmierć przerwała myśli dobre. Obecnie jednak odżyły one w sercach spadkobierców i, jak dowiadujemy się, roboty przygotowawcze do odbudowy wielkiej baszty wjazdowej prowadzą się, ma być także uporządkowany dziedziniec, na którym głęboką studnię odnowiono i ogrodzono.

Dobre i to, bo już to niemasz zakątka kraju, w którymby tak nie szanowano pamiątek przeszłości, jak u nas.

Czytaliśmy niedawno, że ma być przebudowany z gruntu dawny dom Dückerta przy ulicy Długiej; dom, który zdołało dwanaście posągów niepośledniej roboty.

Zainteresowano się temi posągami—i słusznie! Dawnać to pamiątka z przeszłości. Co z niemi się stanie? czy czasami tak, jak część podobnych do tych przedmiotów, nie ulegną zniszczeniu?

Nie, nabył je hr. T., jako ozdoby do swojego ogrodu.

Nieźle!

„Dobrze i to, nieźle!“ powtarzamy raz wraz—lecz, skończonego „dobrze“—niema!

Od dość długiego czasu, prawie każdą pogawędkę z wami, łaskawi czytelnicy, kończę jakimś wspomnieniem pośmiertnym. Uciekają ludzie w świat inny, w świat obcy; czy jest co w tym świecie czy niema, — zawsze go światem lepszym zwać się ośmielę.

Oto nowy zgon.

D. 26 kwietnia umarła Emilia Duksztyńska w rozkwicie sił artystycznych. Znamy dobrze prace malarskie nieboszczki. w każdym dziele

jej nowem widzieliśmy postęp ogromny. Obok niezrównanej techniki malarskiej, odznaczała się umiejętnością chwytania wybitnych rysów psychologicznych portretowanej przez siebie osoby. Nie pogardzała też i obrazami rodzajowemi, w których dużą siłę i prawdę widzieliśmy. Umarła w 48 roku życia, pozostawiając po sobie żal szczery i miejsce próżne wśród kobiet-malarek.

??

Zamek praocjów.

(CHAJM,SSO).

Snię o przeszłości wspomnieniach.

I trzęsę mą siwą głową;

Wy dawne, zgasłe obrazy,

Czyście odżyły na nowo?

Dumnie się wznosi ku niebu,

Zamek wspaniały z drzew cienia;

Znam ja te baszty, wieżycy,

I bramy, i most z kamienia.

Tak łagodnie mnie witają

Lwy z przodków tarczy herbowej —

Pozdrawiam mych starych druhów,

Śpiesząc w dziedziniec zamkowy.

Przy wodotrysku sfinks leży,

Oplatają go powoje...!

Tam, pod temi oknami

Prześniłem pierwsze sny moje...!

Wchodzę w zamkową kaplicę,

I szukam grobu pradziada,

Na rdzawą strzaskaną zbroję

Z ócz mych gorąca łza spada...!

Próżno chcę napis odczytać

Oczy me zasnułe mgłami...!

Choć przez szyby kolorowe

Słońce sieje promieniami.

Tak żywo, zamku ojczysty,

Stoisz przed oczyma memi!

Pląg dawno zorał twe ślady,

Tys znikł oddawna z tej ziemi.

Bądź żywną, o droga niwo!

Błogosławie cię wzruszony,

Dawaj nowym pokoleniom

W przyszłości obfite plony.

A ja podniosę mą harfę,

Wyrwę się z mych marzeń raj,

W świat szeroki powędruję,

Śpiewając, z kraju do kraju.

Marceli Strzemięczyk.

BEZKRÓLEWIE

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

w 2-eh częściach

przez

Maryę Łopuszańską.

(Dalszy ciąg).

— Czyż nie mówiłem, że jestem zapowietrzony? — rzekł pan Jan z goryczą. Kto mię ujrzy, zaraz ucieka. Na Boga! — zawołał gwałtownie, cóż takiego zrobiłem przecie? Wszak żadnej zbrodni dotąd nie popełniłem jeszcze, ani zarazy żadnej z sobą nie przynoszę! Czemuż więc wszyscy przedemną uciekają, i nawet tobie nie chciano dozwolić na rozmowę ze mną?

— Cicho! — rzekła Magdzia półgłosem, kładąc mu rękę na ustach. Jeszcze ciocia usłyszysz i zabroni mi mówić z tobą!

— Powiedz mi, Magdziu, szczerze: musiano wiele strasznych rzeczy nagadać tam u was o mnie, kiedy się stałem takim postrachem dla wszystkich. Wyznaj mi całą prawdę: — wszak tak? Zrobiono ze mnie jakiegoś potwora, którego samo zbliżenie niebezpieczeństwem grozi? Powiedz-że, niech wiem przynajmniej, za co mię uważają?

— Mówiono tylko, — rzekła Magdzia cicho, że słyszysz w hufcach panów Zborowskich i.

— I cóż dalej? nalegał pan Jan. A choćby i tak? Czyż to taka zbrodnia Zborowskim służyć? Ale to nie wszystko; musiano chyba coś więcej mówić?

— Tak, mówiono jeszcze... Ale ja temu nie wierzyła, Janku, — rzekła Magdzia, biorąc go za rękę i patrząc mu w oczy. Rzekłam odrazu, że to kłamstwo, bo mój brat, którego kocham i ufam mu, nie mógłby nic takiego zrobić, aby zawiadło moją wiarę w niego...

Pan Jan pobladał, usłyszawszy te słowa, lecz nie spuścił wzroku; zapytał tylko zmienionym, choć niby obojętnym głosem:

— I cóż to takiego?

— Czym się omyliła Janku? — rzekła Magdzia z mocą, wciąż patrząc mu w oczy. Teraz ja żądam odpowiedzi; — odpowiedz mi jednym słowem: tak, czy nie?

Mówiąc to, powstała z miejsca i stanęła przy nim tak, że przewyższała go o głowę. Twarz jej także pobladała, ale miała ogień w oczach, z których, zdawało się, że lada chwila łza wytrysnie.

Pan Jan podniósł głowę, którą był przedtem opuścił na chwilę, spojrział na stojącą przed sobą siostrę i rzekł cicho ale wyraźnie: „Nie!“

— Nie, — powtórzył głośnie, nie omyliłaś się. — Dziękuję ci — rzekł, całując jej rękę, żeś ty przynajmniej mi wierzyła. Ale nie będę kłamał, że to moja zasługa; jeżeli dotąd nie zapomniał o wierze, w której byłem chowany, to tylko pamięć twojej matki to sprawiła. Nie myśl bowiem, że nasz obóz jest klasztorem, gdzie można wieść życie przykładne; gdybyś zobaczyła owo zbiorowisko, powiedziałaśby, że to piekło prawdziwe!

— Więc czemuś nie porzucił dotąd tego piekła?

— Co ty możesz wiedzieć? Albo to raz los człowiekiem rzuci niby wiatr liściem w jesieni, a jednak różne przyczyny nie pozwalają mu się oddalić?

— Gdybym była chłopcem, nigdybym nie dała, by los mną rzucał mimo mej woli, — rzekła Magdzia, podnosząc głowę rezolutnie.

— Boś dziecko, bo nie znasz życia, — rzekł pan Jan. Nie wiesz tego, jak drobne wypadki mogą wpłynąć na los cały. Musiałem przyjąć służbę u Zborowskich, bo im zawdzięczałem życie. A zresztą, gdybym rzucił obóz arcyksięcia, czyby nie pogardzano mną w przeciwnym? Powiesz może, że mogłem się trzymać zdala od pola walki? Do kogoż więc przytknąłbym się, kiedy

wszyscy swoi odwracają się, jakby jaka hańba na mnie ciążyła? Nie mam domu, nie mam rodziny, więc do czego miałem wracać? Szalony byłby, tak, szalony ten, coby porzucił wszystko dla niczego, coby powrócił, by znieść nieufność, potępienie pamięci ojca, podczas gdy tam... Ale lepiej już nie mówmy o tem...

— Powiedz mi raczej, zkąd jedziecie i jaki cel waszej podróży? Czy myślicie i dalej w tych stronach podróżować bez żadnej osłony?

— Jedziemy z Krakowa, gdzie bawiłam u ciotki jeszcze od jesieni.

— Jakto, byłaś w Krakowie podczas kiedy.. w czasie oblężenia?—zawołał pan Jan wzruszony.

— Tak, byłam, — odrzekła Magdzia, — a teraz jedziemy do Jodłowa, majątku Ewci, w okolicach Rawy.

— I myślicie tak podróżować same? — spytał pan Jan.

— A jakże inaczej mamy podróżować? Wszak ciocia nie ma milicyi nadwornej.

— Na Boga, czy myślicie, że żołnierze Górki, Stadnickiego i rajtary, którzy się tu snują po okolicy, odznaczają się rycerską grzecznością? Wszak to nieostrożność niepojęta puszczać się samym kobietom w podobną drogę!

— Mamy z sobą kilkunastu służby, — rzekła Magdzia nieco niespokojna.

— Tak, i do tego samych starych niedołęgów!—dodał pan Jan. Piękna obrona w razie napadu. Więc ten stary marszałek dworu, którego widziałem, ma was bronić, jeżeli rajtary napadną gdzie na drodze? No, w takim razie niechże się lepiej biedak schowa pod konia, bo go zastrzelą jak kaczkę, a wam radzę lepszego znaleźć sobie obrońcę.

— Czy naprawdę ta okolica tak jest zagrożona?—spytała Magdzia niespokojnie.

— Czy ci się zdaje, że mam chęć do żartów? — odparł pan Jan.

— Tak zagrożona, że nie rozumiem nawet, jak mogliście się odważyć na coś podobnego, zwłaszcza mając tak mało ludzi z sobą. Szczęście jeszcze, że to ja, a nie kto inny, spotkałem was tutaj: właśnie wypada mi droga w tę samą stronę, będę więc mógł was osłaniać choć przez czas jakiś.

— O, jak to dobrze!—zawołała Magdzia, zrywając się i biegnąc do drzwi przyległej izby.

— Ciotciu, ciotciu! — zawołała, otwierając je, niechże ciocia przyjdzie tu! Rzecz bardzo ważna!

— Cóż się tam stało?—zapytała kasztelanowa, ukazując się we drzwiach. Magdzia opowiedziała jej spieszenie wszystko co usłyszała od brata, o niebezpieczeństwie tutejszych dróg, dodając, że on gotów jest osłaniać je w podróży, wraz ze swoim poczem.

— Dziękuję waćpanu, — odrzekła kasztelanowa wyniośle i chłodno, — dziękuję za jego uprzejmość. Tych ludzi, których mam z sobą, w drodze aż nadto wystarczy.

— Ależ w tych okolicach co krok spotkać można zbrojny oddział obcego żołnierza, — zawołał pan Jan. Nigdy niemożna ręczyć za nich...

— Dotąd jednak podróż odbyła się bez żadnych przygód, i nie widzieliśmy wcale tych oddziałów, o których waćpan mówisz, — rzekła chłodno kasztelanowa.

Pan Jan westchnął, tłumiąc zniecierpliwienie.

— Na Boga! — zawołał wreszcie, jeśli moje słowa nie znajdują wiary, to racz waszmość pani zapytać choćby tego żyda, czy codzień w okolicy nie zdarzają się rozboje i gwałty? Cóż tych kilkunastu ludzi pomódz mogą? — tyle co nie; żołnierze pana Górki odrazu by im dali radę, podczas gdy moja chorągiew wytrzyma atak nawet większego oddziału. Co do mnie, — dodał z naciskiem, będę się starał jak najmniej naprzykrzać w drodze swoją osobą.

Kasztelanowa zdawała się namyślać; pan Jan tymczasem spojrzął na drzwi przyległej izby i ujrzał w nich jak w ramkach, zaniepokojoną twarzyczkę Ewy, która jednak natychmiast znikła, gdy tylko rzucił okiem w jej stronę.

— A więc jeżeli tak, — ozwała się wreszcie kasztelanowa, — to poproszę waćpana, by mi dał kilkunastu ludzi swoich dla ochrony. Gdybym

sama była, — dodała zimno, — nie udawałabym się nigdy z podobną prośbą do waćpana, ale mam z sobą te oto dziewczęta, powierzone mojej opiece, i o nie mi idzie, by nie były narażone w drodze na żadne niebezpieczeństwa.

Mówiła z nim wciąż wyniośle i chłodno, jakby go wcale nie znała dawniej.

— Cóż znaczy kilkunastu ludzi, — rzekł pan Jan żywo, — kiedy po gościach snują się całe oddziały żołdactwa rozpuszczonego i niekarne.

— Przecież moi ludzie są uzbrojeni, — odrzekła kasztelanowa.

— Dobrze więc, pójdę zaraz się przekonać czy broń ich zdolna odeprzeć natarcie choćby dziesięciu żołnierzy, — zawołał pan Jan, — i wyszedł spieszenie z izby, czuł bowiem, że zaczyna już tracić cierpliwość.

— Ciotucho, — rzekła Magdzia po jego odejściu, — dlaczego ciocia nie chce...

— Nie chcę, bo nie chcę, a tobie nie do tego! I wiedz o tem waćpanna, że on przestał już być bratem twoim, skoro stał się odstępcą i buntownikiem przeciw własnemu królowi. Tak postanowił ojciec twój, i ja ci słowa jego powtarzam!

— Ciociu! — zawołała Magdzia z żalem, — nie bądźcie tak surowi dla niego! Przysięgam wam, że on nie jest odstępcą, to tylko wymyślono na niego niegodziwie — pytałam się go właśnie przed chwilą i wierzę jego słowu...

— Co mi waćpanna będziesz gadać! — ofuknęła kasztelanowa. — Nie jest odstępcą, a czemuż służy Zborowskim, czemu, czemu tak, jak inni to uczynili, nie odda czci prawemu królowi?

— Czyż mało ludzi służy Zborowskim, a mimo to nikt ich nie oskarża o odstępcstwo! — rzekła Magdzia z rumieńcem na twarzy i ze łzami w oczach.

— Milcz waćpanna! Cóżto, spór ze mną chcesz toczyć? Powtarzam, że odtąd zabraniam ci mówić o tym twoim szanownym bracie, którego bronisz tak zawzięcie!

Magdzia umilkła; lecz choć łzy spływały po jej zarumienionem licu, nie widać było na niem poddania się wyrokom ciotki. Kasztelanowa wyszła, żałując trochę w duchu swej surowości, Ewa zaś tymczasem podeszła do Magdzi i milcząc, objęła ją za szyję.

Pan Jan poszedł w istocie przekonać się jak była uzbrojona służba kasztelanowej, lecz ledwie się zbliżył do jednego z pachołków, rozkazując mu, by przywołał marszałka, ten przeleknął na widok zbrojnego oficera, począł przed nim umykać co tchu. Zwrócił się z tem samem do chłopca, kryjącego się w stajni, około żłobu, lecz i ten, spostrzegłszy, że się zbliża, puścił się jak strzała ku drzwiom. Pan Jan jednak chwycił go silnie za kołnierz i wstrzymał w progu.

— Wielmożny panie, ja nie nie winien, — wybelkotał chłopak, trzęsąc się jak liść.

— Czegóż się boisz, głupcze, — nie ci złego nie zrobię, — zawołał pan Jan zniecierpliwiony.

Lecz chłopak, ujrawszy jego wzrok gniewny i nakazujący, jeszcze bardziej począł trząść się.

— Czyście wszyscy poszaleli? — krzyknął pan Jan z gniewem. — Do kogokolwiek się zbliżyć, każdy ucieka!... Czegóż się tak trzęsiesz tchórzku? Cóż we mnie jest tak straszne?

— Wielmożny pan ma takie oczy srogie, — rzekł chłopak nieśmiało.

— Pięknych ma z was obrońców pani kasztelanowa! — rzekł z pogardliwym uśmiechem, puszczając go. — Biegnij i przyprowadź mi tu duchem marszałka!

Chłopak pobiegł jak strzała i znikł w karczmie.

Za chwilę stanął przed nim marszałek, czerwony i spotniały ze strachu.

Gdy pan Jan powrócił do izby, poznał zaraz po oczach Magdzi, że płakała.

— Biedne dziecko cierpi przeze mnie, — pomyślał z żalem.

— Pani kasztelanowo, — rzekł do wchodzącej, — wasi ludzie są tak źle uzbrojeni a przytem tak tchórzliwi, że gdyby przypadkiem jeden strzał padł, rozbiegliby się ze strachu. Jakkolwiek wiem, iż niemila wam jest moja obecność,

pozwołcie mi, na miłość Boską, choć przez czas jakiś z moją chorągwią osłaniać was w drodze, przynajmniej dokąd nie wyjedziecie z tych okolic zagrożonych. Wszak tu na każdym kroku może was spotkać jakaś zła przygoda.

— Więc rzeczywiście kraj jest tak pełen żołdactwa?—rzekła kasztelanowa, zaczynając już się wahać.

— Jest ich tu jak szarańczy a niedobrze popaść w ich ręce, bo zdolni są do wszystkiego.

— A, słyszałam, słyszałam już jak pięknie sprawuje się cała partya waćpana, — rzekła kasztelanowa. — Zaiste, bardzo to jest zacne dla młodzieńca z uczciwego domu kalać swoje nazwisko, wśród podobnej hołoty bez czci i sumienia, — i rodzina waćpana bardzo mu wdzięczna za to!

Rumieniec wystąpił na twarz młodego człowieka, chciał coś odpowiedzieć porywczo, ale Magdzia, stojąca naprzeciw, obok przeleknionej Ewy, złożyła błagalnie ręce i wzrokiem prosiła go, by zmilczał. Dał się powodować temu spojrzaniu, i choć trudno mu przyszło, odpowiedział o ile mógł spokojnie:

— Nikt nie może odpowiadać za gwałty popełnione po większej części przez najemnych żołnierzy i potępiać za nie całą partję byłoby niesprawiedliwie. W każdym wojsku znajdują się takie niekarne żywioły.

— Ale niekażde wojsko gwałty swe wywiera na własnym kraju, — odcięła ostro kasztelanowa. — Dlatego też, choć muszę przyjąć ofiarę waćpana, szczerze wyznaję, że wolałabym się bez niej obejść.

To mówiąc, spojrziała z góry na pana Jana, który skłonił się i rzekł ironicznie:

— Wielce boleję nad tem, że konieczność zmusza nas, choć przez czas niejakiś wspólnie odbywać podróz, ale, jak rzekłem już, będę się starał jak najmniej naprzykrzać się waszmość pani moją obecnością.

Kasztelanowa pogardliwym milczeniem zbywszy te słowa, wyszła w towarzystwie Ewy.

Magdzia wówczas przystąpiła szybko do pana Jana i rzekła półgłosem:

— Nie przerywaj mi, bo ciocia i tak zabroniła mówić z tobą. Ale to nie—ciocia z początku się pogniewa, a potem przestanie. Nie jest wcale złą, tylko trzeba jej schodzić z drogi i nie urażać się zbyt, gdy co powie. Jest w jej zwyczaju wszystko mówić bez ogródkki; lecz gdy raz, drugi zniesiesz to cierpliwie masz już jej łaskę, pozyskaną na wieki.

— Dziękuję ci za tę łaskę, — rzekł pan Jan porywczo. — Trzeba mieć świętą cierpliwość, by to znieść!

— Mój Janku, — rzekła Magdzia, wspinając się na palce i kładąc mu obie rączki na ramieniu, — zrób to dla mnie, posłuchaj mojej rady. Nie bądź narowistym koniem, nie stawaj dęba za każdym słowem, wyrzeczonym przez starą niewiastę, której się należą względy, choćby nawet i co przykrego powiedziała. Zapewniam cię, że ciocia wcale nie jest złą, tylko taka wredyczka, ona nawet samemu królowi powiedziałaby prawdę w oczy. Proszę cię: choć raz posłuchaj mię, tak jak za dawnych czasów, gdyś robił wszystko com chciała. Bądź takim, jakim potrafiś być, gdy zechcesz: dobrym, uprzejmym i pełnym uszanowania dla starszych. No, cóż, czy dajesz słowo? — spytała, patrząc mu w oczy z przymileniem.

— Któżby tobie czego odmówił, gdy prosisz?—odrzekł pan Jan, rozbrojony jej spojrzeniem. — Dobrze więc, daję słowo, że będę odtąd cierpliwym...

— I nie będziesz już koniem narowistym? — pytała Magdzia z uśmiechem głaszcząc go po twarzy.

— Nie będę.

— Choćby ciocia znów ci coś powiedziała?

— Magdziu! — rozległo się wołanie kasztelanowej.

— Trzeba uciekać! — szepnęła Magdzia i skinawszy mu główką na pożegnanie, znikła za drzwiami.

Stanisław Nałęcz - Ostrowski.

Ideały niewieście poetek polskich

Studjum etyczno-literackie.

(Dalszy ciąg).

Późniejsza o wiek przeszło od Oleśnickiej Drużbacka wychowywała się, żyła i pisała w epoce rozluźnienia węzłów moralnych w naszym społeczeństwie, w ciemnej i smutnej epoce zdrzemnięcia w apatii i gnuśności ducha narodowego, w epoce, przedstawiającej jakąś nie-normalną wybujałość życia towarzyskiego, wśród nieprzerwanych zabaw, kuligów, zjazdów i pijatyk. Otoczenie nie mogło pozostać bez wpływu na kierunek twórczości Drużbackiej i przyczyniło się do zabarwienia niektórych jej utworów na ton satyryczny, nadało również pewne znamienne rysy jej ideałowi niewiasty.

Ogniskiem i areną najbardziej rozwiniętego życia towarzyskiego, z kąd szedł przykład w dół na szersze warstwy społeczne — był podówczas u nas dwór królewski. Z tamąd to tryskało źródło zepsucia i skażenia moralnego dawnej czystości obyczajów, z którego to źródła zdroje trucizny moralnej spływały na cały naród. Pragnie więc najpierw Drużbacka zbrzydzić w oczach kobiet owoczesne życie u dworu, i w tym celu stara się wykazać całą marność, nicość i krótkotrwałość jego zabiegów, zabaw, intryg i stosunków. Pokazuje nam całą galerię owoczesnych dworaków — fałszywych, próżnych, obmownych i głupich. Maluje nieszczerłość w stosunkach, obłudę w przyjaźni udanej, zazdrość, próżność i inne ujemne strony życia dworskiego. Zdania te wypowiada przez usta pewnej damy, która spędziwszy większą część życia u dworu i zbrzydziwszy sobie w końcu wyżej wymienione jego wady, wybiera się na spokojniejsze życie w samotności i ciszy. Zwraca się owa dama do strojnych, rozbawionych niewiast i pyta:

„Długoż wam służy ta żywość wesola?
Ta piękność kwiatów — te pachnące zioła?
Które w swych miękkich jedwabiach kryjecie —
Zieloność dobrą nadzieją zowiecie.
Ale jak długo te cieszą nadzieje?...“

„Póki szkodliwy wiatr was nie zawieje“ — odpowiada owa dama, — podobnie bowiem jak obeschnięte z rosy i zwiędłe trawy idą pod kosę żniwiarza, gdy czas nadejdzie sianozęcia, — również śmierć swoją kosą zetnie te dziś jeszcze uśmiechnięte i rozbawione kobiety. Wszelkie uciechy są niedługotrwałe, wszystkie przemijające; — wszystko, „co dziś jaśniało — jutro z cieniem znika;“ — pozostaje tylko po tem przesytnym, zmęczeniu, — a tymczasem wespół tych zabaw hucznych, życie mknie szybko i ucieka i coraz się przybliża ów kres fatalny — owa godzina, gdy trzeba będzie zdać sprawę z życia zmarnowanego, z obowiązków niedopełnionych, z dobrych uczynków zaniechanych i opuszczonych. Wyznaje owa dama ze skruchą, że i ona w sposób podobny większą część swego życia zmarnowała i „bawiąc całe lata w takowym błędzie,“ teraz

„Pocznę raz myśleć, co też dalej będzie?...
Gdy po skończonych tańcach — muzyk — lutnie —
Czas nożycami strunę moją utnie,
Spyta mię potem, kędy czas strawiłam,
Na jaką wieczność sobie zarobiłam?“

Zaznaczamy tu punkt religijny, z jakiego poetka ocenia życie owoczesne: nie dlatego gani i piętnuje wzgardą ciągle owe zabawy, tańce i muzyki u dworu, że wpływają one ujemnie na moralność społeczeństwa, na rozluźnienie węzłów rodzinnych, — lecz przedewszystkiem dlatego,

że odwracają nas od myśli o wieczności i mogą nas pozbawić wiecznego zbawienia.

Życie więc zdala od gwaru wielkoświatowego, „w osobności,“ wśród spokoju i ciszy, — jest według Drużbackiej jedynie szczęśliwe; rozrywką w takim życiu jest „książka i robota,“ przy których czas spływa milej i korzystniej, niż wśród zabaw i uciech światowych.

Również ujemne typy współczesnej sobie kobiety światowej przedstawia Drużbacka w wierszu zatytułowanym „Skargi kilku dam...“ Oповіда w wierszu owym poetka, jak chodząc raz w czas ranny po ogrodzie i odmawiając pacierz, usłyszała z za drzew dochodzące do niej skargi i płacze kilku niewiast; zdjęta ciekawością i współczuciem, przybliżyła się ku nim niepostrzeżenie i

„Widzę łzy z oczu, a wdychania częste
Uważam, i mam litość nad stworzeniem
Płci mojej, ledwie wraz z niemi nie kwilę,
Nie wiedząc, że to płaczą krokodyle...“

Każda bowiem z dam tych uskarża się przed towarzyszkami swemi na swojego męża; ta ma żal do niego za to, „że jak smok siedzi na łańcuchu w domu,“ że nie dba o zabawę dla niej, że nie sprasza dla niej gości, że „kawy nie ma w domu trzech ziarenek,“ a mąż każe jej zagrześć „piwa garnek“ — że nie sposób żyć dłużej z takim człowiekiem prostym i domatorem a zręczną i grozi, że się z nim rozwiedzie. Druga nazywa swego męża skąpcem i głupim; trzecia skarży się, że przez skąpstwo i domatorstwo męża „nie zna — co roby.“

„Sejmów nie widzę, nie wiem, gdzie Warszawa
Choćby mi boków naszturkano w ciżbie,
Byłem z raz była w Senatorskiej izbie.
Nie wiem, co jest bal, assamble, reduty,
Mój mnie jegomość osadził przy kurach...
O blondynowych nie chcę garniturach
Wiedzieć, żebym je mieć mogła na modę;
Otóż z tych racyi z gapiem się rozwiodę.“

Inne również w podobny sposób użalają się na mężów swoich, że ci nie chcą dogadzać ich zachciankom, wszystkie zaś godzą się na jedno, że w najkrótszym czasie należy żądać rozwodu. Poetka, która dotąd cierpliwie skarg tych słuchała, nie może dłużej wstrzymać swego oburzenia i w gorzkich słowach wyrzuca tym lekkomyślnym kobietom ich nieczemność, pochopność do łamania zaprzysiężonej przed Bogiem wiary dla tyle marnego powodu, brak niewieściego wstydu i lekkomyślne traktowanie najpoważniejszych w życiu kwestyj. Postępowanie takie nazywa „żartem z Bogiem, z świętymi igraszka,“ mówiąc, że „ołtarz podobno u nich gdańskim biurem,“ że przysięgać dla nich — bagatela, frazszka...“ że każda z tych istot lekkomyślnych, wymówiwszy słowa przysięgi sakramentalnej: „nie opuszczę cię aż do samej śmierci,“ — opuszcza zatem męża „dla podłej osoby,“ przymierze z Stwórcą dla stworzenia łamie, „idź precz, Antoni — żyj ze mną, Adamie.“ Upomina je w końcu, że postępowaniem i całem życiem swoim „czynią krzywdę narodowi“ i grozi, że „przyjdzie kres, kiedy Bóg z życiem je rozwiedzie.“

Jakże jednak wygląda dodatni ideał kobiety w oczach Drużbackiej?... jaki cel główny winien według niej przyswiecać w życiu kobiecie? jakie ma ona najświętsze do spełnienia w życiu obowiązki? — Odpowiedź na powyższe pytania postaramy się wyciągnąć z następujących utworów poetki.

W wierszu zatytułowanym: „Żal nieodżałowanej straty s. p. księcia Pawła Sanguszki,“ maluje Drużbacka boleść pozostałej po nim wdowy, księżnej Barbary i przyrównywa ją do nimfy Egeryi, która z równym żalem płakała swego Nymy i „łzy za napój, za pokarm codzienny obrała,“ aż rozplęnęła się w końcu sama w zdroj wodny. Nazywa następnie księżną „źródłem łez miłości“ i przyrównywa do Nioby, podobnie bowiem tej nieszczęśliwej matce, księżna bolała nad stratą syna, zmarłego niedługo przed ojcem. Nazywa w końcu ją

ową Halcyoną,
Której męża rozbity okręt w morzu topi,
Sławna dotąd, że była kochającą żoną...“

Dodaje przytem: „ażaź i nasza pani Halcyony szlakiem po słonem morzu swego nie szuka kochanka?“ czyniąc aluzję do łez obfitych, jakimi księżna oplakuje męża. W innym wierszu, zatytułowanym: „Cnoty Bogu i światu wiadome JO. Księżnej Marszałkowej,“ przyrównywa poetka tę samą panią do Artemizyi, która była „przykładem żon wiernych ku męża miłości,“ i „nie będąc w łzy ani w złoto skąpa,“ wystawiła mężowi „nagrobek czyli Mauzoleum sławne — między cudami świata policzony.“ Wynosi następnie cnoty i przymioty księżnej jako małżonki, — a więc jej tklivą miłość, jej czułość i słodycz, troskliwość o zdrowie męża, szacunek ku niemu, życie szczęśliwe i zgodne „bez grymasów, fochów...“

„Nie mężem, ale raczej ojcem żonie
Lepszego pana przez poszanowanie;
Respekt z miłością jaki był, kto powie?...
Jakie do jego woli stosowanie,
Baczność o zdrowiu, przestroga życzliwa,
Książę zastępnie, księżna już omdliwa...“

Wychwalając te rzadkie przymioty księżnej jako żony, poetka ze smutkiem zaznacza, że „mało ich równych w naszym czasie widzę“ — i wydaje temi słowy niejako gremialny wyrok o kobietach naszych wespół zepsutego owoczesnego społeczeństwa... Ale miłość księżnej stawia poetkę wyżej od miłości Artemizyi, gdy ta ostatnia bowiem „kochała osobę w ciebie, nie pomniąc o duszy,“ księżna tymczasem „obojgu prawu zadość czyni,“ nietylko wspaniała zmarłemu wyprawila pogrzeb, lecz „myśląc o duszy,“ hojnie rozdaje jałmużny i pełni uczynki miłosierdzia. Tu poetka przechodzi do wyliczania cnót księżnej i jej dobrych uczynków na polu miłości bliźniego: „skrycie potrzebny jałmużny rozdaje;“ nie masz kościoła, klasztoru, szpitala, coby go księżnej rąka nie wspomogła...“ Że uważa księżną poetka za ideał miłości żony ku mężowi i ku bliźniemu, świadczą o tem wiersze:

„Wdowy! na które toż sieroctwo spadło,
Macie w tej pani przykładne zwierciadło...
Wszystkich nas uczy w księżnej cnota pańska,
Jak zmarłych mężów, przyjaciół, żalować:
Na czem zawisła miłość chrześcijańska...“

Lubo księżna „pełną była uczynków chwalebnych,“ prosi ją jednak poetka, aby była następczynią godnego męża w jego miłosierdziu, — „bądź matką sierot, wspomagaj potrzebnych“ i zaklina ją w końcu, aby zgodnie z radą św. Pawła, „nie odmieniała stanu wdowiego,“ Bóg sam bowiem zaopiekuje się nadal nią i jej dziełkami. Tak więc widziała Drużbacka w księżnej ideał kochającej tklivie i oplakującej szczerze męża małżonki, oraz godnej obywatelki, pełniącej chętnie uczynki chrześcijańskiego miłosierdzia. Ową cnotę miłości bliźniego i wspomagania ubogich wykazuje Drużbacka także w osobie księżnej Urszuli Lubomirskiej; opisując domek letni, zwany Retyradą, tak o nim mówi i o miłosierdziu jego właścicielki:

„Tu jałmużnicy złote rybki łowią,
Nikt z prózną ręką od niej nie odchodzi.“

Podaje nam w paru utworach Drużbacka wzór pokutnicy, która za błędy młodości spędza resztki dni swoich w pustyni na modlitwie i umartwieniu. Jednej z nich, Sylwii, zjawia się śmierć na puszczy w postaci kościastej staruszki i w rozmowie z Sylwią prowadzonej, odkrywa przed nią „duszny pożytek pustelniczego mieszkania,“ z tamąd dopiero bowiem należyście można ocenić całą czezość i próżność ludzkich zabiegów, trosk i kłopotów. Radzi Sylwii, aby „zdala wołę swoją pod najwyższe rzędy“ i tak żyła, „jakoby umierała codzień,“ aby nie ufała zdrowiu cielesnemu i nie troskała się o nie, ale raczej „dla czerstwej duszy drogę w niebo torowała;“ niech

prosi Boga, „aby „stróż-aniół mieszkał w jej komórcie,“ by nie chowała w sercu do nikogo gniewu ni urazy, mając zawsze w pamięci słowa modlitwy Pańskiej. Radzi jej w końcu, by się nie przywiązywała zbyt mocno do najbliższych nawet sobie ludzi, przyjaciół lub rodziny, niedługo bowiem człowiek z nimi na ziemi przebywa:

„Nie wiąż się sercem do dzieci, do wnucząt,
Bo krótkie z nimi są twoje pieszczoty;
Wspomnij, że matka odlatuje kurcząt,
Choć to z przymusu czyni, nie z ochoty...
Boskiem oku odda dzieci z gniazdem...“

W wierszu „Pokuta św. Maryi Magdaleny,“ kreśli najprzód poetka wizerunek grzesznej zalotnicy:

„W perły bezcenne szyję, ręce stroisz,
Pięknaś, bogata, a w cnotę uboga;
Włosy w pierścienie zwijas, w oknie stoisz,
Wabisz oczyma, wolna do cię droga!...
Nie wiesz, że w piekło niejednego nurka
Wysłałaś po śmierć, dla twych pereł sznurka.“

Następnie opowiada pierwsze przebudzenie się sumienia, spotkanie z Jezusem, żal grzesznicy za błędy życia, szczerą jej skruchę i chęć poprawy. Umiłowawszy Chrystusa, ani na krok już Go nie odstępowała, „rwie perły, włosy, ogoląca uszy, słodkie nauki w żywą pamięć kreśli.“ Siada u nóg Chrystusa, oblewając je szczeremi łzami żalu i miłości i ocierając swemi włosami. Rzuciwszy świat i jego rozkosze, sprzedaje majątność lub rozdaje ją ubogim, aby być równie ubogą, jak mistrz umiłowany. Nie opuszcza też go w ostatniej jego godzinie, idzie śladem za nim na Golgotę i tam — u stóp krzyża, na którym kona boski Oblubieniec, oddaje się niemu bólowi i rozpaczy. Odtąd pędząc życie wśród twardej pokuty, żyje jedynie nadzieją, że „wieczny światło po ciemnościach czeka tych, którzy z żyjącym żyć życzyli sobie, z umarłym umrzeć, z Nim razem być w grobie.“ Rys ten miłości dożgonnej ku Oblubieńcowi, który odszedł, zaznacza poetka w następujących wierszach:

„Nie jest to sztuka przyjaciela kochać,
Pieścić się z zdrowym, oświadczać mu chęci,
Mniejsza, gdy umrze, zabijać się, szlochać,
Zo grunt, po śmierci kochać go w pamięci...“

Postać tej pokutnicy uzmysłowia nam myśl poetki, że kobieta, chociażby upadła jak najniżej, przez szczerą żal, pokutę, miłość i wiarę żywą a głęboką, zawsze może się podnieść niemal do świętości, tem bardziej więc każda kobieta, którą świat i jego uciechy odwiódły od drogi obowiązków, przy szczerym żalu za winy i przy dobrej woli, łatwo może powrócić na prostą drogę życia. Ze słowami więc otuchy zwraca się poetka do niewiast:

„Nie trać nadziei, białogłowski rodzie,
Co ci niejednym dotkliwemi słowy
Chytrym, niewiernym, złym zowiąc dobodzie;
Twoja rzecz cierpieć za grzech Adamowy,
A ufać przecie, że twój Bóg łaskawy
Winę odpuści i poprawi sławy...“

Z pośród innych cnót, jakimi winna się odznaczać polska niewiasta, wymienia poetka przywiązanie do rodzinnego gniazda i do ojczyzny, stateczność, poddanie swej woli we wszystkim woli Bożej i mocną cierpliwość, która zawsze zwycięża w końcu—choćby najdłużej srożącą się dolę.

Obraz więc kobiety, która jako małżonka i matka — z miłością i zaparciem się siebie wypełnia obowiązki swojego stanu, pełni uczynki miłosierdzia chrześcijańskiego, która poważniej życie pojmuję, niż jako ciąg nieprzerwany uciech i zabaw światowych, która wreszcie raz odstąpiwszy od drogi obowiązku, stara się na nią powrócić i odtąd, nie zbaczając już na manowce, dąży nieukłonne do zaniecia pojętego i szlachetnego celu, — oto ów jasny ideał, jaki

się przed nami wyłania z utworów Drużbackiej. Rzućmy go teraz na owe tło mroczne a smutne epoki społecznej, jakie w rysach ogólnych starałem się wyżej odtworzyć, a zobaczymy, że ideał ten mocno się od niej odrzyna i odbija od jej cieniów jako świetlane i pełne promieni zjawisko. Nie jest to jednak jakieś powietrzne, nie oparte na gruncie realnym fantoma, jakiś ideał oderwany, którego nawet przybliżonych wzorów nie moglibyśmy napotkać w społeczeństwie ówczesnym; owszem, żyły podówczas niewiasty, jak to widzieliśmy wyżej, które c. otami duszy swojej i zaletami serca zbliżały się do owego ideału, — ogół jednak przedstawiał typy w największej części ujemne, przyczyniające się tem do żywszego uwydatnienia owych jaśniejszych postaci.

(Dalszy ciąg nastąpi),

LISTY TEOFILA LENARTOWICZA

do Eli (Jzabelli)

(od 1871—1893 r.).

(Dalszy ciąg).

VIII.

Florencja, 23—12—82.

Najłaskawsza Pani!

Jakże Ci podziękować, Najzaczniejsza Pani, za Twoją pamięć i za życziwe słowa.

Pytasz się mnie Pani o katedrę Bolońską—więcej to o tem gadają niż warto—naprzód, że nie mając w ręku nominacji, jeszcze nie mam, a to z powodów wiadomych tylko ministrowi, który wezwawszy mnie, nie pojmuję dla czego z takową się powstrzymuje, być może z przyczyn dążności całego gabinetu, a może także, żeby nie obciążać budżetu państwa niezmiernie ubogiego niekoniecznym wydatkiem, bo już ciż konieczności nie mają żadnej słuhać o Słowianach, tem więcej, że o bliższej im literaturze hiszpańskiej, angielskiej i niemieckiej niewiele co słyszą i osobnych katedr dla żadnej z tych literatur we Włoszech niema.

Od obowiązku profesora wymawiałem się, przedstawiając na miejsce mi ofiarowane p. Wołyńskiego, zdanie wszakże wielu z moich współziomków, a mianowicie uwaga, że tenże historyę się jedynie zajmując, nie może mieć poglądów, wymaganych od wykładającego literaturę, i że już pomiędzy publicznością bolońską i młodzieżą uczącą się zyskałem sobie sympatyę, z czego korzystać należy, — skłoniło mię do oświadczenia, że będę próbował, a jeśli głosu nie starczy, (cierpię na gardło i najmocniej zakazane mi jest nietylko mówienie głośne, ale nawet dłuższa konwersacya) zostawię miejsce moje kandydatowi, jakiego przez czas wykładu będę mógł upatrzeć.

Życzyłem bardzo, żeby nim był p. Wołyński i dlatego proponowałem jego pomoc, żeby się dał poznać ze strony swego talentu, przedstawiając, że zamiast literatury, byłoby może lepiej ustanowić katedrę historyi i wprost go wezwać na takową. Myśl moja wszakże znalazła opozycyę w samym p. Wołyńskim, który dziś w „Przebiegach powszechnym“ niezgodnie z prawdą krzywdząc mnie opowiada historyę, starając się w obec młodzieży polskiej odmalować mnie jako sługę konserwatystów, papistów etc. i wreszcie najzupełniej pozbawionego kwalifikacji do tej posady. Smutne to, i tem smutniejsze, że żyje ze mną, że jest świadkiem mojego życia i zna moje wyobrażenia, bynajmniej nie zacofane; jeżeli zaś religia moja mu się nie podoba, to w takim razie z panami postępowymi byłoby gorzej

jak z najcięższym despotyzmem, który przecięż za wiarę, za to tylko, że ktoś tak lub owak wierzy w Boga, nie przesładować; przesładować może, jak Anglicy niegdys w Irlandyi instytuowały ale nie indywidua; to bowiem, co jest między Bogiem a człowiekiem, pod ludzki sąd nie podpada.

Smutne to i wstrętne—otoż tego rodzaju przyjemności nie braknie mi, a ciężkie one są, osobliwiej w wieku już późnym.

Płaskorzeźbę Stanisława darowałem Akademii Mickiewicza w Bolonii, kolej żelazna bowiem wymagała opłaty z góry porto franków 150, a ja podobnej ofiary dla muzeum w Poznaniu zrobić nie mogłem; gdyby jednak o to szło, to w przyszłym roku 83, jeżeli będę w Krakowie, zrobię to w glinie w pamięci w ciągu miesiąca, każę odlać i do Poznania przesłać.

Przez całe lato zajmowałem się pisaniem notat do wykładu, w jesieni przez dwa i pół miesiąca pracowałem w glinie preparowanej i wykonałem Mickiewicza z całą jego plejadą na górze idącej spiralnie, coś podobnego do mogiły krakowskiej, a po drodze ku wodzowi pieśni ustawiłem Zygmunta, Kazimierza, Juliusza, Seweryna, Wincentego, Antoniego i Bohdana, w kostiumach takich, jakie sobie nadawali sami jako śpiewacy w poematach. Podoba się to, a jeśli znajdzie nakładcę (nakład na odlew w miedzi kosztować będzie 1,500 franków)—zostanie po mnie pamiątka, nad którą może się oko miłującego poezyę naszą zatrzyma.

Wydałem „Rytmy,“ najlepsze ze wszystkiego co napisałem (we Lwowie w księgarni i drukarni ludowej przy ulicy Bernardyńskiej) i napisałem kilka drobnych poezyj.

Pracowałem też w ciągu tego roku nad poematem dramatycznym „Sokrates,“ dla którego dużo studywałem pisarzy greckich i wykonałem grupę małą tego poprzednika chrystyanizmu—otoż i wszystkie moje tegoroczne zajęcia, nieznane Wam, drodzy państwo, a które może kiedyś poznacie.

Od pani Julii nie mam żadnej wiadomości, co się z nią dzieje—oby jej Bóg dał wytrwanie na trudnej drodze nauczania.

Ordon, dziś 75-letni starzec, doskonale wygląda, czerstwiejszy i zdrowszy odemnie: jutro rano razem będziemy na wigilii w domu polskim.

Z oczami jestem trochę lepiej, ale znowu w palcu jakiś kuroz mię dręczy, że pisać nie mogę—ot, starość nie radość.

Z Polaków jest tu tego roku kilka poczciwych rodzin, więc się jakoś łatwiej znosi życie.

A teraz cóż więcej napiszę pani? oto życzenie, jak je wyraził Seweryn:

A życzeń tyle co nędzy,
Wszystkie zamknę w jednym słowie:
Obym mógł pić jak najprędzej
Z pełnego was wszystkich zdrowie.

Dzięki, dzięki, dobra pani, za słowa siostrzane, niech Pan Bóg zapłaci.

Pelen najgłębszej czci
T. Lenartowicz.

(Dalszy ciąg nastąpi)

RUCH MUZYCZNY.

Sezon koncertowy, tak obfity w roku bieżącym w produkcyę pod każdym względem bardzo piękne i zajmujące, ma się ku końcowi. Trzeba przyznać, iż powódź muzyczna dostarczyła nam na falach dźwięków mnóstwo wrażeń wysoce artystycznych; tym wrażeniom właśnie poświęćmy dzisiejszy ruch nasz, wpierw jednak zaznaczyć musimy z uznaniem wielkiem ustawiczną działalność i energię istniejącej przy towarzystwie muzycznym sekcji Moniuszkowskiej, która dzięki swemu prezesowi p. Wł. Zahorowskiemu, rozwija się i podnosi coraz bardziej.

P. Zahorowski jest duszą sekcyi, jej propagatorem żarliwym, a że ogólnym cieszy się szacunkiem i sympatją powszechną, licznym też zdobywa dla sekcyi członków, gorącym słowem i namową zachęcając do uczestnictwa. W tym sezonie dla upamiętnienia 25-letniej rocznicy śmierci wielkiego twórcy „Halki,” zarząd sekcyi wydał „Sonety krymskie:“ a) wyciąg fortepianowy do śpiewu z tekstem polskim i niemieckim (tłomaczenie dra W. Gumpłowicza), z dodaniem portretu Moniuszki i podobizny jego podpisu, oraz wstępem, który wyszedł z pod bardzo kompetentnego pióra dra Karłowicza. Kartkę tytułową wykonał p. Miłoz Kotarbiński; b) głosy orkiestrowe; c) głosy chóralne ze słowami rosyjskimi (tłom. Wł. Benedyktowa) i włoskimi (tłom. p. Elly de Schoultz-Adajewskiej); e) trzecią edycję układu fortepianowego na cztery ręce, wydanego przedtem staraniem Towarzystwa muzycznego w Warszawie. Szukałno troskliwie a napróżno melodyi „Pieśń młodzieńca,” stanowiącej drugą część sonetu trzeciego, wydartej z autografu „Bajka,” — uvertura w partyturze orkiestrowej i oddzielnie głosy orkiestrowe. „Stara piosenka” — partytura na solo tenor i chór dwugłosowy żeński z tow. fortepianu, oraz oddzielnie głos solowy i głosy chóralne; „Kochanka hetmańska,” — uvertura na fortepian, na cztery ręce, według autografu: wszystko to przejrzał i sprawdził szczegółowo dzieła powyższe przed oddaniem do druku p. A. Münchheimer; w korekcie drukarskiej brali czynny udział pp. Maszyński, Roguski, Stattler, Biernacki, Rożański, Hertz i Miller. Według ogłoszonego sprawozdania, zbiory sekcyi znacznie się powiększyły w r. z.; otrzymano i kupiono autografy, odpisy, druki i inne pamiątki po Moniuszce; samych listów Moniuszki otrzymała sekcyja pięćdziesiąt. Do cenniejszych ofiar zaliczyć należy: partyturę orkiestrową i libretto opery „Ideal,” czyli „Nowa precyzoza”, uważanej za straconą i nieznaną dotąd polonez na fortepian na cztery ręce, dedykowany własnoręcznie przez Moniuszkę Alojzemu Żółkowskiemu. Z pamiątek po Moniuszce ofiarowali do zbiorów sekcyi: p. Marya Szpichalska fortepian, na którym grywał w dzieciństwie Moniuszko w domu s. p. Elżbiety z Madzarskich Moniuszkowej; dwie batuty dyrektorские Moniuszki, z tych „wileńską.” — Gustaw hr. de Broel-Plater i „warszawską” — p. W. M.

Nadto zarząd sekcyi nabył z funduszu, przez członków ofiarowanego, popiersie Moniuszki z marmuru. Uporządkowaniem i spisem szczegółowym zbiorów bibliotecznych i pamiątek po Moniuszce, zajmuje się stale dyrektor Münchheimer. Stan funduszu sekcyi za r. 1897 przedstawia się w ten sposób: remanent z r. 1896 wynosił rs. 1970 kop. 89; remanentu na r. 1898 pozostało rs. 2255 kop. 55; oprócz tego w kasie złożono rs. 1000 kop. 7, stanowiące depozyt, przeznaczony na potrzeby wydawnicze sekcyi, o ile depozyt okaże się zbytecznym przy zamierzonym wystawieniu pomnika w foyer teatru Wielkiego.

Można takich rezultatów pracy szczerze powinszować zarządowi sekcyi, zwłaszcza zaś jej prezesowi, który ani na chwilę nie przestaje myśleć o tem swoim dziecięciu i hodować go najtroskliwiej.

Szczęście Boże!...

Gdy sekcyja Moniuszkowska tak pomyślnie się rozwija, samo towarzystwo muzyczne pod kierownictwem wytrawnym dyrektora Noskowskiego kroczy po drodze artystycznej coraz wyżej. Trzeba było w dopiero co zamkniętym sezonie tegorocznym pilnie baczyć o dobór programu, jeżeli dyrekcya chciała wyjść obronną ręką z konkurencyjnych pod względem sztuki

koncertów, w jakie ostatnimi czasy Warszawa obfitowała. Dzięki dobrze obmyślanym programom i dzięki udziałowi szeregu sił wybitnie artystycznych, udało się towarzystwu nie tylko nie dać pokonać współzawodnictwu innych wieczorów, lecz zgromadzić nawet tłumy na wielu własnych koncertach.

Bardzo naprzykład miłe wrażenie wywarły dwa ostatnie koncerty. Panna Vetrovec, wiolonistka istotnie utalentowana, zwróciła na grę swoją uwagę ładnym tonem, porządnie opracowaną techniką i muzykalnie odtworzonymi szczegółami wcale wytwornej interpretacji; jest to gra na wskroś kobieca, ale nie pozbawiona energicznej rytmiki i pewnego stylu. Utalentowana artystka wykonała trudny koncert Beethovena, uzupełniony kadencjami Joachima; również bardzo dobrze odegrała p. Vetrovec „Adagio” z IX koncertu Spohra, niezbyt szczęśliwie kończąc swoje produkcje „Mazurkiem” Żarzyckiego, traktowanym... po niemiecku. Śpiew p. Remerówny podobał się ogólnie; młoda artystka wykonała z powodzeniem ślicznego „Skowroneczka” Z. Noskowskiego, „Piosnkę” Godarda i „Tęsknego” M. M. Biernackiego. Krytyk muzyczny „Echa” i świeżo mianowany profesor konserwatorium, p. M. M. Biernacki posiada rzeczywisty talent kompozytorski; jego utwory zawierają w sobie dużo melodyjności a pod względem faktury muzycznej świadczą o poważnych studiach autora. „Wiosnianka cygańska” na solo i chór mieszany jest kompozycją prawdziwie piękną, zapewniła też panu Biernackiemu sowite oklaski.

Koncert benefisowy dyrektora Noskowskiego odbył się w dn. 27 z. m. wobec szalenie zapelnionych sal Redutowych. Wieczór został rozpoczęty przez p. Edmunda Hertza, młodego wirtuoza, który ma już dzisiaj dobrą technikę, ale potrzebuje jeszcze pracować nad rozwinięciem duchowym swego talentu.

Gorącym oklaskiem darzono młodą śpiewaczkę, której przyszłość artystyczna pomyślnie się zapowiada. Tą śpiewaczką jest panna Marya Kleczyńska, córka znanego muzyka i profesora konserwatorium, s. p. Jana Kleczyńskiego, którego świetne recenzje pamiętają czytelnicy „Bluszczu”, s. p. Kleczyński bowiem przez szereg lat prowadził w naszym piśmie „Ruch muzyczny”, aż póki mu śmierć nielitośna pióra nie wytrąciła z ręki... P. M. Kleczyńska odziedziczyła po ojcu wielką muzykalność, którą wypielegnowano bardzo starannie. Młoda artystka przeszła wyborną szkołę śpiewu u państwa Souvestre-Paschalisów i debiutowała w operze drezdeńskiej, jednając sobie najżywsze uznanie słuchaczy i krytyki. Obecnie ma p. Kleczyńska wystąpić w operze warszawskiej, — wtedy to będziemy mogli wszechstronnie ocenić talent artystki; dziś zaznaczamy prawdziwie zasłużone powodzenie śpiewaczki na koncercie Noskowskiego; artystka wykonała doskonale arję z „Wolnego strzelca” i kilka pieśni, wykazując wszystkie zalety dobrego głosu i świetnej szkoły. Czekamy występu p. Kleczyńskiej w operze z niecierpliwością.

Mistrz Barcewicz grał w ostatnich tygodniach kilka razy — a grał tak cudnie, tak chwycił zawsze za serce, iż wruszał, czarował i porwał słuchaczy. Po koncercie własnym (gdzie go spotkało owacyjne przyjęcie) Barcewicz wystąpił jeszcze dwa razy — i za każdym razem wzrastał zapal publiczności. To pewna, iż nasz mistrz jest poetą skrzypiec i nie ma sobie pod tym względem równego artysty. Akompaniował Barcewiczowi, wierny mistrza towarzyszył estradowy, prof. Ludwik Urstein, utalentowany wysoce pianista.

„Lutnia” warszawska zgotowała nam wspólnie ucztę muzyczną na koncercie nadzwyczajnym, urządzonym w salach Redutowych w piątek zeszły. Na estradzie (co się nader rzadko przytrafia) zasiadła orkiestra teatru Wielkiego, która grała oddzielnie i towarzyszyła Barcewiczowi oraz chórom. Orkiestra to znakomita, złożona z artystów wybornych i odtwarzająca każde dzieło z precyzją i wytwornością.

Polonez Moniuszki, z fortepianu na orkiestrę przez Z. Noskowskiego przełożony, po raz pierwszy pod tegoż dyrekcją został wykonany ku zadowoleniu wszystkich. Instrumentacya Noskowskiego jest bardzo piękna i wybornie wydatna pomysły Moniuszki. Wspaniale również wypadł rapsod rycerski Griega, składający się z dwóch części p. t. „Pochód norweski Krzyżowy” i „Pieśń królewska.” Niepospolite wrażenie udzieliło się słuchaczom z „Medytacyi” Gounoda publiczność zażądała powtórzenia tej przepięknej kompozycji. Poważny nastrój ogarnął nas pod wpływem dzieła Griega: „U furty klasztornej,” w którym to dziele oprócz chórów i orkiestry wzięły udział dwie utalentowane śpiewaczki: pp. Frenklówna i Rapacka. „Świtezianka” Moniuszki w opracowaniu zbiorowym Münchheimera zakończyła ten wielki koncert, w którym wystąpił jeszcze oprócz wyżej wymienionych p. Grąbczewski, a uświetnił go Barcewicz.

W operze mieliśmy przed dwoma tygodniami bardzo ciekawy występ. Nowa gwiazda operowa, p. Bolska (hr. Brochocka), której występy wywołały sensację w Petersburgu, śpiewała, przeznaczając dochód z przedstawienia na rzecz przynależną dla nieuleczalnych kalek. Artystka wystąpiła w „Romeo i Julii” i stwierdziła, iż jest wyjątkowej miary siłą wokalną. Śpiew piękny łączy artystka z dystynkcyą wykwinną gry scenicznej i najwytworniejszego obejścia.

A. Dobrowolski

Odpowiedzi Redakcyi.

Pani Stacher. w Krakowie. Rękopisy nadeszły, po przeczytaniu, damy odpowiedź.

Panna Anina R. w Lubliży. List i rękopisy odebrane, odpowiedź umieścimy po przeczytaniu rękopisu i po wyniku sesji redakcyjnej.

Pani Zielen. w Nag. Część rękopisów się wydrukuję, pozostałe odesłane będą pod wskazanym adresem. Dziękujemy za życzliwość dla „Bluszczu”, który wyselanym będzie regularnie.

Pani J. Pias. w Częstoch. Przy nawale listów, odpowiemy kolejno szczegółowiej na zapytania Sz. Pani.

P. T. X. Rękopis nieczytelny, list bez adresu.

P. N. W. Rękopisy nieczytelne nie mogą być czytane na sesji, na czem autor sam traci; niniejszy manuskrypt jest niemożliwy; drobnych rękopisów się nie zwraca; tylko w ważniejszych sprawach odpowiadamy listownie.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu” dołączymy się: arkuś 9 T. II, powieści, p. t. *Masarenowie*, przez Ouidę. Przekład Z. S.

Treść: Na stanowisku, przez Szczęsną. — Pogawędka, przez ?? — Zamek praocjów, przez Mieczysława Strzemińczyka. — Bezkrólewie, powieść historyczna w 2-ch częściach, przez Maryę Łopuszańską (dalszy ciąg). — Stanisław Nałęcz-Ostrowski. *Idealy niewieście poetek polskich.* Studium etyczne-literackie (dalszy ciąg). — Listy Teofila Lenartowicza do Eli (Izabelli) (od 1871—1893 r.) (dalszy ciąg). — Ruch muzyczny, przez Adama Dobrowolskiego. — Odpowiedzi Redakcyi.

Dodatek obejmuje: *Masarenowie*, powieść, przez Ouidę, arkuś 9 T. II. Przekład Z. S. — Przegląd mód. 28 wzorów i robót z opisem. — Sekreta gospodarskie. — Dyspozycje obiadu.